

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

12

Ciąg dalszy.

Roggers z przyjemnością przypatrywał się tej scenie ulicznej. Zwrócił się do dorożkarki:

— Wolna?

Zmierzyła go wzrokiem i odpowiedziała grzecznie:

— Proszę. Dokąd mam jechać?

— Do baru Japońskiego, na Mont...

— ...Matre. Wiem! Trunki tam przednie, znam się ja na nich!

Obracając się bokiem do siedzenia, monologowała głośno według zwyczaju:

— Czy to nie straszne, mój panie, żeby mąż — gdyż to był mój mąż — nadużywał swej władzy policyanta!... Założę się, że pan cudzoziemiec? Anglik? Nie, Amerykanin!... Tak, ja mam dobre oko, zaraz spostrzegłam. Prawda, że w Ameryce są kobiety wolne? We Francji nic nie można zrobić!... Gorsze niż murzynki!... Wie pan, ja już miałam się wszelkich fachów... Atletka! trzeba było udawać i sztukować się, by przestraszyć amatorów. Dorożkarka? ani jednego dnia, by te „stojące“ nie wmięszali!... Hop! na bok! nie słyszysz ty stara?

Przekupka z jarzynami, która zaszła jej drogę, zakłęła.

— Stój! ty dorożkarska wiedzmo!

— Co, rozbiłam ci twój chodzący śmietnik? Nie skowycz!

Wobec ciągłych wstrząsań dorożką, którą kierowała z wielkim rozmachem, Roggers spostrzegł, że dama na koźle tyknęła rano porcyę, którą zwykle pokrępiła się dopiero wieczorem, chciał też resztę drogi odbyć pieszo, na szczęście jednak dojeżdżali już do wyznaczonego miejsca.

Roggers wszedł do baru i porozumiewając mrugając okiem do właściciela tego zakładu, zapytał:

— Dzień dobry Johnny. Brass już przyszedł?

Brass był to pseudonim Cockleya.

— Nie widziałem, panie Smith.

— Niech pan powie, że będę tu dopiero między trzecią a czwartą.

— Będzie o tem wiedział.

Wychodząc, spotkał się Roggers z tęsknym wzrokiem dorożkarki, która właśnie wodziła oczami po wystawionych butelkach na wystawie.

— Pragnienie? — zapytał.

— Drapie w gardle.

— Szklaneczkę?

— Nie można odmówić milordowi.

Roggers miał jeszcze dosyć czasu, a ponieważ znajdował przyjemność w badaniu typów ulicznych, odznaczających się zazwyczaj humorem i swego rodzaju filozofią, chętnie też wdał się w rozmowę, pewny będąc, iż na tem sam skorzysta, dowie się jakiego zwrotu gwary miejskiej lub treściwego określenia rzeczy, na jakie sam nie zdobyłby się.

Dorożkarka zsunęła się z koźła, zdjęła koniowi munsztuk z pyska, a przywiązała mu worek z sianem.

— Jedz za mnie, ja będę piła za ciebie.

I weszła z detektywem do bocznej sali baru.

— Co pani pije?

— Grenadyne z rumem, jeżeli można i zandarma.

Widząc, że Roggers nie rozumie specjalnych nazw gwary paryskiej, dodała:

— Zandarm, to cygaro. Czy to nie razi pana.

Słyszałam, że hrabiny w Austrii palą jak mężczyźni? To i ja też mogę...

Podał jej cygarnicę. Wzięła jedno cygaro, odgryzła koniec zębami i zaczęła zwierzenia:

— Francja, wie pan, to kiepski kraj. Wszystko dla tej silnej płci. Silnej? Niech pan pomaca moje bicepsy. Niech pan nie łaskocze! Pomaca tylko!... Co? warte coś!... Niech mi pan mówi o Ameryce! Tam chciałabym żyć, bardzo lubię podróżować!... Czy to prawda, że tam kobiety wszystkim się zajmują?

— Tak, są inżynierki, monterki, szoferki...

— Niemożliwe!

Irma Bouchemol, zameżna Trachet, otworzyła ze zdumieniem oczy.

— Kierowniczkę samochodów? U nas jeszcze do tego nie doszli. Nic, tylko mizerne dorożkarki. Wie pan, ja sześć razy musiałam zdawać egzamin, no i teraz, przez ten protokół męża zsadzą mnie z koźła z pewnością!

Jednym łykiem wypila połowę szklanki, która była dość znacznych rozmiarów i ciągnęła dalej, puszczać wielkie kłęby dymu.

— Jeżeli nie byłabym Francuską z ojczyzny Joanny d'Arc, chciałabym być Amerykanką, rodaczką Franklina.

Dodała potem, odsapnąwszy głośno:

— Amerykanie... wiozłam ich rano na dworzec Saint Lazare.

— Tak! — zapytał Roggers obojętnie.

— Piękną kobietę i jej... nie chcę powiedzieć kogo, gdyż z pewnością nie byli oni żonaci... Ach! piękna kobieta!... Pewnie jaka księżniczka. Ale on, prawdziwy wywłoka, nędzny szczupak! Coś w rodzaju kajdaniarza... Nie chcieli siadać do mnie... Co to? pluskwy u mnie w poduszkach!

— „Ale siadaj, mówiła, siadaj i jedźmy.

— „A ten oglądał się na wszystkie strony, jak przed łapaczami.

— To prawda, że u nas są piękne bobiety — odezwał się Roggers, robiąc się naraz uważnym. Czy oni?...

— Zdaje się, że bardzo im się spieszyło. Wcale nie dziwiłabym się, jeżeli zbroili jaki ładny kawałek. Ale cóż to mnie pan tak okiem obmacuje?

— Patrę, że pani nie pije, czy rum nie dobry?

— Dobry... A byli oni hojni, jak złodzieje. Na dworcu dała mi dama sto susów.

Irma Bouchemol drugim łykiem wypila resztę szklanki.

— No i już. Dobrze mi się zrobiło. Serdeczne dzięki. — Zgasła cygaro, trąc koniec o blat stołu:

— Siostrę tę zabieram z sobą.

Roggers po wyjściu dorożkarki napisał na bilecie kilka słów:

„Goń natychmiast, dworzec Saint Lazare, Dieppe-Newhaven. Jutro rendez-vous Bird-House, Red Street, Londyn.

Na kopercie, którą mu przyniósł restaurator, napisał: „Brass“.

— Proszę to oddać jak tylko przyjdzie. — Zapłacił i wyszedł. Dorożka jeszcze nie odiechała, wsiadł i dał adres:

— Do policyi.

Irma Bouchemol spojrzała na niego z pod oka i z pewną naganą w głosie, odpowiedziała:

— Dokąd? Do Judei? Nie jadę. Nie dawniej

jak wczoraj zawiozłam tam damę. Dziwne upodobanie? I wie pan co? Śledzili nas potem. Przyjaciel Tracheta nazywa się Bop. Nie! Niech pan bezemnie obejdzie się. A dla pana Salvande moje uszanowanie. Zaczęła odwiązywać worek z sianem:

— Nic nie zostawiłaś moja kokotko?... Proszę pana, jeżeli pan chce przewietrzyć się w Łasku, albo złożyć pięknościom wizyty, a może katakomby obejrzyć, wtedy jestem do pańskich usług...

I Irma Bouchemol nalegała:

— Cóż to, niema rozrywek? Taki piękny męczyzna, jak pan... Niech pan nie chodzi do tych łapaczy. Słowo daję robi mi pan przykrość.

— Żałuję bardzo — odpowiedział Roggers uśmiechając się — lecz tam właśnie mam sprawę.

Zanotował sobie w pamięci numer dorożki. Może jeszcze kiedy będzie musiał szukać dorożkarki?...

— W takim razie, niech mi mylord pozwoli ofiarować sobie jakiego soku, bym nie była winna za grzeczność. Lecz tam pana zawieść, dokąd pan chce, wołałabym już połknąć mój bat.

— To już za drugim razem.

Roggers wsunął do ręki dzielnej dorożkarce monetę, na którą z początku nie spojrzała nawet z żalu, za tak miłym pasażerem; od początku czuła instynktowną sympatię dla niego.

Oddalając się, słyszał jeszcze, jak sama z sobą rozmawiała:

— Gdzie ty też Irmo podziałas głowę. Dobry kurs przyniósł ci ten gość. To nie dziesięć susów, prawdziwe złoto!

I wzięła dziesięć franków, które dał jej Roggers, do ust, by przekonać się, czy przypadkiem nie są fałszywe.

Detektyw w prefekturze spotkał się z panem Magu, z którym przez dłuższą chwilę rozmawiał. O wyjeździe Hawkinsa i Colson nic nie wiadano. Nie przypuszczano nawet, iż to on był przebrany za starą damę. Wyszli z hotelu zupełnie niespostrzeżenie, mimo, iż agent pilnował bramy. Roggers dużo pytał, dużo słuchał, nie zdradził się jednak z tem, co sam wiedział. Ograniczył się tylko na oznajmieniu, iż opuszcza Paryż razem z Cockleyem, dążąc za temi dwiema damami. Podziękował również za uprzejmość doznaną od pana Magu i od prefekta.

W południe zajechał przed pałac pana Morailles.

XX.

PIENIĄDZ LUB HONOR.

Pan Mitre odnalazł córkę, lecz stracił żonę. Mała Made spoczywała w kołysce, Ninetka zaś w wielkim łóżku. Nie mógł myśleć o jednej, by nie wspominać o drugiej, tak iż radość z odzyskania córki zatruta była przez świadomość o hańbie żony. Pierwsza myśl jego rano odnosiła się do obowiązku: biuro, ministerium. Przedtem jednak musiał dokonać cięższej powinności: odszukać kochankę żony — słowa te raniły mu serce — tego pana Mereuil i zwrócić mu biżuterię, nienaruszone pięćset franków i dwa tysiące dwieście, przyjęte przez wiaromną żonę. Tych jednak dwóch tysięcy franków — bo na resztę mógł się zdobyć — nie miał: skąd ich wziąć? Musi je mieć natychmiast. Nie może żyć, dopóki nie oczyści swego nazwiska z brudu, jakie nań padło z tych grzesznych pieniędzy. Mimo przebaczenia, jakie jej dał w chwili słabości, żal i krzywda przeciw żonie, ciągle się wzmagaly w nim. Miał odszukać tego człowieka, nie by go wyzwąć — mimo nawet całej nienawiści do niego nawet o tem nie pomyślał: czyż on trzymał kiedy w ręku pistolet lub szpadę — lecz by spłacić ten haniebną dług. Dwa tysiące franków! On tak biedny, iż nigdy przed pierwszym nie mógł związać końców i teraz taka wielka suma. Chciał prosić o nie matki. Przed lustrem wiszącym nad kominkiem, z miną obrażonego majestatu — gdyż uważała, że za mało zajmuje się nią — starsza pani Mitre zawiązywała wstążki do kapelusza:

— Ponieważ już nie jestem potrzebna wam, mogę wreszcie odpocząć trochę. Nie chcę ci Edgar-dzie dawać żadnych rad, pozwól jednak powiedzieć sobie, że dobrze uczynisz, jeżeli na przyszłość lepiej będziesz pilnował swojej żony, swej mamki i swego dziecka, a także i kucharki, gdyż cała kuchnia znajduje się w strasznym nieporządku.

Pociągnęła palcem po ramie lustra i pokazała mu go zakurzony:

— Mieć dwie służące i taki nieład w domu! Ach! te młode panie! moje biedne dziecko!

Czyż możebne teraz, gdy tak jest usposobiona, prosić ją o pożyczkę? Dwa lub trzy razy w ciężkich chwilach zmuszony był od niej pożyczyć małe sumy, pięćdziesiąt — sto franków. Na samo jednak wspomnienie tego, pot wystąpił mu na czoło. Nie, nigdy się na to nie odważy. Z ulgą też zobaczył, że istotnie żegna się i wychodzi. Po odprawieniu jej do drzwi, wrócił do pokoju sypialnego. Ninetka, siedząc na łóżku, oparta o poduszki, starała się czesać przed lustrem, które trzymała na kolanach. Spojrzała na męża niepewnie, z niejakim jednak zadowoleniem, że tak prędko zakończyła się ta scena. Z wdzięcznością, jaką miała za to dla niego, łączyło się jednak lekceważenie za jego słabość.

— Wychodzisz? — zapytała.

— Domyślasz się chyba dokąd idę — opowiedział surowo.

Cień omroczył jej młodą twarz. Mój Boże, tyle przez to kłopotów. Chciała, by wina jej została już zapomnianą by wszystko było po dawnemu. Najbardziej przykra była dla niej ta myśl, iż mąż zabierał biżuterię. W każdym razie to jej własność...

— Polecam ci Made, — rzekł. — Nie spuszczać jej z oczu. Pamiętaj o tem, że to wszystko, co pozostało z naszego szczęścia.

Wyszedł. Dwa tysiące franków. Na każdym stopniu schodów widział wyrytą tę cyfrę, wszędzie miał ją przed oczami. Skąd dostać tyle pieniędzy? Wszędzie one są. I w tem towarzystwie kredytowym, i w kasie właściciela tego składu samochodów, i w kufurze u lokatora z pierwszego piętra. Pieniądz toczy się, brzęczy po całym Paryżu, gdzie tak wiele jest ludzi, dla których dwa tysiące nie stanowią żadnej sumy.

Lecz nikt mu nie pożyczy, zwłaszcza, że nikt nie zna. Będą żądali zastawu, gwarancji, a on nic nie ma! Przyjaciele? lecz gdzie ich szukać w biedzie! Rodzina? nie utrzymywał z nią żadnych stosunków. Dwa tysiące franków! By je zdobyć, poświęciłby wszystkie dnie i noce, zaprzęgnąłby się do najcięższej pracy, a jednak ani pieniędzy, ani pracy tej nie dostanie.

Przypomniało mu się, że słyszał raz o pożyczkach natychmiastowych. Uda się do takiego banku, może mu się poszczęści. Pamiętał o takim ogłoszeniu i poszedł pod wskazany adres. W domu, brudnym, zanieczyszczonym, znalazł na czwartym piętrze drzwi z tabliczką: „Bank pożyczkowy“. Wszedł do pokoju przedzielonego na dwie połowy drewnianą ścianą; w drugiej przegrodzie zastał jakiegoś staruszkę, słabo władającego francuskim językiem, któ-